

ZOSTAŃ

Rozdział 6

Przez pierwsze pięć godzin jazdy do Rochester kopa dawały mi wściekłość i hektolitry kawy. Kolejne dwie i pół godziny z Chittenango do domu były prawdziwą drogą przez mękę. Po prostu kipiałam ze wściekłości i nie wiedziałam, jak ją uzewnętrznić. Gorączka kofeinowa ustąpiła miejsca przykreemu roztrzęsieniu. Czułam się samotna. Sięgnęłam po telefon, wsparłam go o kierownicę i przejrzałam listę kontaktów. Było na niej pełno obcych mi już osób, głównie znajomych ze studiów, którzy po zakończeniu nauki wyjechali z Rochester, a których imion nie wykasowałam – chciałam, by zajmowały miejsce w telefonie i utwierdzały mnie w przekonaniu, że wciąż mam przyjaciół. Z trzydziestu siedmiu osób w kontaktach dzwoniłam jedynie do dwóch. Lecz nawet gdyby Janie i Peter nie przebywali właśnie w Europie, do nich też nie mogłabym się zwrócić z moim problemem.

Czułam się ohydna, odrażająca, pospolita. Choć nigdy nie skorzystałam z rady mamy i nic nie powiedziałam Peterowi, to wszyscy wokół i tak wiedzieli. Zdawali sobie sprawę, jaką byłam żalną idiotką – idiotką, która przyszła bez partnera na ślub miłości swojego życia i najlepszej przyjaciółki.

Rzuciłam telefon na siedzenie pasażera. Obgryzałam paznokcie aż do krwi, plując w deskę rozdzielczą odpryskami „rodzynkowego zachodu słońca”. Prowadziłam kolanem, żeby zawiązać włosy w kucyk i by dwie minuty później jednym ruchem ręki zerwać gumkę.

Objadałam się żelkami, które kupiłam w sklepie na postoju. Przyklejały mi się do zębów, ale kiedy tylko udało mi się wydłubać resztki jednej, mimo woli wkładałam do ust kolejną. Złapałam zieloną, choć przed chwilą przysięgłam sobie, że już skończyłam. W przypiływie rozsądku uchyliłam okno, wyrzuciłam żelkę i przyglądałam się przez chwilę w lusterku, jak cukierek skacze po ulicy niczym zielona żaba. Chwyciłam dwie kolejne i również je wyrzuciłam. Podskoczyły, odbiły się od siebie i zniknęły. Wyrzucałam żelki przez okno, dopóki nie została mi tylko jedna. Zjadłam ją i spędziłam ostatnie dwadzieścia minut podróży na wydłubywaniu pomarańczowej mazi pomiędzy zębów.

Nie pocieszył mnie widok podjazdu ani dźwięk otwieranych drzwi od garażu. Dom nie okazał się bezpiecznym schronieniem, jak bywało kiedyś. Miałam wrażenie, że czek Diane już pracuje na moją eksmisję. Uderzyłam zderzakiem w pojemnik na śmieci, co podpowiedziało mi, że wjechałam wystarczająco daleko. Zamknęłam drzwi od garażu, złapałam torebkę, ale nie pofatygowałam się do bagażnika po walizkę.

W zimnym wnętrzu unosił się zapach wykładziny i stęchlizny. To nie było przytulne gniazdko, tylko zwykłe miejsce do spania. Kiedyś próbowałam uczynić ten dom bardziej przyjaznym. Cały tydzień przykładałam próbki farb do ścian i analizowałam je o różnych porach dnia, jak sugerowały poradniki. Kupiłam wszystkie możliwe rodzaje pędzli i wałków, metry taśmy samoprzylepnej, słoiki farb – do każdego pokoju w innym kolorze – oraz ogromną pomarańczową książkę o naprawach domowych, w której cały rozdział poświęcono malowaniu. Przeczytałam ten rozdział chyba ze sto razy, dopóki nie byłam pewna, że znam go na pamięć. Zaczęłam od salonu. Przykryłam wszystko pokrowcami i okleiłam taśmą, jak zalecano w książce. Pomalowałam ścianę za kanapą na niebiesko. Jednak kolor nie miał tego samego odcienia „weneckiej nocy”, jaką demonstrowały etykieta i próbka. Nasuwał raczej na myśl rajtuzy Supermana, więc poprzestałam na jednej ścianie, obiecując sobie, że wkrótce ją poprawię. Janie i Pete’owi powiedziałam, że celowo wybrałam taki kolor i że malowanie tylko jednej ściany to najnowszy trend, o którym trąbią na okrągło we wszystkich programach o wystroju wnętrza, puszcanych na kablówce późnym wieczorem.

Nie licząc tej jednej niebieskiej ściany, cały dom był sterylnie biały i neutralny. Nawet rzeczy, które sama kupiłam, nie wyróżniały się niczym szczególnym. Chciałam sprawić sobie czerwony toster, ale Janie odwiodła mnie od tego pomysłu.

– To potworne, Van. Kto kupuje czerwony toster?

Za każdym razem, kiedy spoglądałam na kremowy opiekacz w kuchni, miałam ochotę krzyknąć.

Nie schylając się, nogami ściągnęłam buty, wyciągnęłam z szafki kuchennej plastikowy dzbanek, wypełniłam go wodą i wsypałam do środka torebkę oranżady w proszku o smaku grejpfrutowym. Potem chwyciłam plastikowy kubek o pojemności 0,7 litra, który dają do pizzy na wynos, i wypełniłam go do połowy lodem. Kolejną jedną czwartą dopełniłam oranżadą, a na koniec dolałam wódki. Weisnęłam do środka zginaną słomkę i ruszyłam na inspekcję reszty domu. Na sekretarce nie nagrały się żadne wiadomości. Nawet nie fatygowałam się na zewnątrz do skrzynki na listy – nigdy nie dostawałam niczego oprócz rachunków i propozycji wyrobienia kolejnych kart kredytowych. W łazience śmierdziało pleśnią, bo przed wyjazdem nie uprzątnęłam mokrych ręczników. Zielistka, którą wiecznie zapominałam podlewać, przybrała brunatny kolor. Poza tym nic się nie zmieniło. Wszystko wyglądało tak jak przed wyjazdem. Żadnych niespodzianek.

Wysiorbałam całą oranżadę, tak że zostały tylko kostki lodu, i wróciłam do kuchni po kolejnego drinka. Toster kpił ze mnie z drugiego końca stołu. Odłączyłam go od kontaktu i wyrzuciłam do śmieci. Sprawilo mi to ogromną satysfakcję, choć jeszcze lepiej bym się czuła, gdybym mogła wyrzucić go z samochodu niczym żelkę.

Wciąż miałam na sobie potworne dziurawe dzinsy z czasów licealnych, więc chwyciłam nowego drinka i udałam się z nim na górę, żeby się przebrać. Schody wydały mi się wyższe i bardziej strome niż zwykle.

Minęły całe tygodnie od ostatniego prania, a wszystkie porządne, jeszcze czyste ubrania zapakowałam do walizki na wesele. W szafie pozostała tylko jedna czysta piżama, której wręcz nienawidziłam. Była obrzydliwa – stara i znoszona, w bladoniebieską i czerwoną kratkę, duża, prosta i, jak większość moich ubrań, pokryta jasnożółtymi plamami po kawie.

Kiedy to się stało – kiedy się spotkali i zakochali w sobie od pierwszego wejrzenia – obwiniłam o wszystko tę właśnie piżamę. Choć bardzo jej nie lubiłam, nie potrafiłam się zmusić, żeby ją wyrzucić, ponieważ miałam coś konkretnego, na co mogłam zrzucić całą winę.

Janie przyjechała do mnie w odwiedzinach podczas ferii wiosennych na trzecim roku. Zjawiła się w piątek po południu. Powiedziałam Peterowi, że nie dam rady pójść z nim na naszą tradycyjną kolację, bo muszę się uczyć do egzaminu z psychologii.

– Właściwie – oznajmiłam mu, kiedy szliśmy na stołówkę na śniadanie – to mam zamiar odizolować się od świata na cały weekend.

Peter codziennie rano przychodził po mnie do akademika i szliśmy na spacer. Chciał w ten sposób wyleczyć mnie z nagminnego spóźniania się na pierwsze zajęcia. Uważał, że skoro już wstanę i wyjdę na zewnątrz, z większym prawdopodobieństwem zdążę na wykłady. To była moja ulubiona część dnia.

– Nie daj się prosić – upierał się. – Znalazłem indyjską knajpkę. – Poruszył wymownie brwiami i się uśmiechnął. – Na oko to zwykła spelunka, ale Connor z zajęć z literatury twierdzi, że jedzenie jest naprawdę świetne, a to istny snob kulinarny. Mówi, że stołują się tam najprawdziwsi Hindusi. Tak dobrze dają tam jeść.

– Przecież nie lubisz indyjskiego jedzenia – przypominałam mu, walcząc z pokusą dotknięcia jego twarzy. Zawsze kiedy znajdowałam się blisko Petera – bez względu na to, ile czasu przebywaliśmy razem – trzymanie rąk przy sobie wymagało ode mnie ogromnego wysiłku. Mocny zarys jego szczęki i gładkość skóry sprawiały, że pragnęłam złapać go, powąchać jego szyję, przylgnąć do niego całym ciałem. Nigdy wcześniej nie czułam do nikogo czegoś podobnego. W obecności Petera miałam problemy ze skoncentrowaniem się na czymkolwiek.

– Ty je lubisz. Sama to niedawno przyznałaś. A ja zawsze zmuszam cię do chińszczyzny.

– Ale ty zawsze płacisz – zauważyłam. To była prawda, choć z reguły o tym nie rozmawialiśmy.

– Bo jestem dżentelmenem. – Zmarszczył nos i potrząsnął głową, jakbym wygadywała głupoty. – Proszę cię, Van. Indyjskie. Zamówimy na wynos, jeśli chcesz. Pozwalam ci zasmrodzić mój pokój curry. Obiecuję, że nie usłyszysz ode mnie słowa sprzeciwu. Przecież jest piątek. To nasz wieczór. Zgódź się!

– Pete, bardzo bym chciała, ale nie mogę – odparłam. Czułam się potwornie, odmawiając mu. – Naprawdę muszę się uczyć.

– To tylko kolacja. Pozostawię cię z książkami na całą resztę weekendu.

Zacisnęłam dłoń w pięść i dałam mu kuksańca w bok.

– Pójdziemy w przyszłym tygodniu. Obiecuję.

– Jasne – burknął. – No dobrze. – Wyglądał na urażonego, ale pomyślałam, że jak potęskni, to go bardziej do mnie zbliży. Poza tym nie chciałam, żeby poznał Janie.

Janie przywiozła ze sobą maseczki do twarzy i lakier do paznokci. Pomalowałyśmy paznokcie u stóp i skakałyśmy po pokoju z separatorami z gąbki pomiędzy palcami. Cieszyłam się, że znów mogę spędzić z nią trochę czasu. W jej towarzystwie czułam się dobrze i swojsko. Wmawiałam sobie, że to dlatego postanowiłam nie zapraszać Petera. Nie chciałam, żeby przeszkodził mi w spędzeniu odrobiny czasu z najlepszą przyjaciółką. Pragnęłam mieć Janie tylko dla siebie – jak kiedyś.

Ogłosiłam wypożyczalnię bodajże ze wszystkich filmów z Mattem Dillonem. Kiedy usadowiliśmy się przed telewizorem z pizzą i kilkoma paczkami „wybuchowych cukierków” oraz włączyliśmy *Wyrzutków*, do drzwi zapukał Peter.

Otworzyłam, nawet się nie zastanowiwszy. Peter nie mieszkał w moim akademiku, więc zwykle musiał dzwonić, żeby się do mnie dostać. Nie przeszło mi przez myśl, że to może być on. Okazało się, że przemknął do środka z chłopakiem jakiejś innej dziewczyny.

– Rany – powiedział, lustrując całą scenę. Na zewnątrz musiało mżyć. Kropelki wody lśniły na włóknach jego czarnego polaru. – Izolowanie się od świata zwykle oznacza przebywanie w samotności. A uczenie się zakłada zagładanie do ksią. . .

– Co ty tu robisz? – Obmacałam twarz tuż przy włosach, w poszukiwaniu zaschniętych resztek maseczki błotnej i przykryłam ramieniem pierś, żeby zasłonić ogromną plamę po kawie.

Spojrzał mi prosto w oczy, zmarszczył czoło i westchnął.

– Pomyślałem, że przydadzą ci się moje notatki z psychologii z zeszłego semestru. Miałem nadzieję, że jeśli pomogę ci w nauce, jutro udałoby się nam wyskoczyć na kolację. Ale ze mnie głupiec – rzekł beznamiętnym tonem, wręczając mi bordowy zeszyt. Potem minął mnie i wszedł do pokoju.

Janie siedziała po turecku na podłodze naprzeciwko telewizora. Jej włosy były ściągnięte do tyłu grubą czarną opaską. Kiedy splukiwałyśmy maseczki, starannie zmyła każdy ślad błota i pomalowała wargi lśniącym bladoróżowym błyszczkiem.

Wyciągnął do niej rękę.

– Jestem Peter. A ty?

– Janie – odparła, wstając. Miała na sobie uroczą pizamę: różowe satynowe spodnie w różyczki i bluzeczkę na ramiączkach w tym samym kolorze z ogromną, przepiękną różą rozkwitającą na piersi.

No i stało się. To był początek końca. Poznałam go po sposobie, w jaki na siebie patrzyli. Straciłam go przez Janie. Co gorsza, nie mogłam dalej pocieszać się domysłami, że pewnie jest gejem i dlatego nigdy nie próbował mnie podrywać.

Kilka tygodni później Peter odwołał naszą piątkową kolację.

– Jadę się odizolować na weekend – powiedział, uśmiechając się do mnie szarmancko.

Przez izolację miał na myśli Rhode Island.

Odwiózł Janie na Uniwersytecie Browna i przywiózł mi koszulkę z napisem: „Wolę być na Rhode Island”.

– Chyba oboje wolimy, prawda? – zapytał. – W końcu to twoja najlepsza przyjaciółka.

Nie miałam żadnego problemu z wyrzuceniem prezentu. Zmiałam T-shirt w kulkę i cisnęłam go z balkonu do kontenera na śmieci zaraz po tym, jak Peter poszedł do swojego akademika, żeby zadzwonić do Janie.

Nie mogłam zrzucić winy na T-shirt, ale mogłam obwinąć pizamę. Gdybym tylko miała ładniejszą pizamę, może Janie nie wyglądałaby w porównaniu ze mną tak cholernie olśniewająco. Wiedziałam, że to niedorzeczne, ale to była moja jedyna pociecha.

Zostawiłam niesławny przydziewek w szufladzie i przekopałam stertę ubrań na dnie szafy. Znalazłam parę czarnych legginsów. Zaczęłam ściągać spodnie, ale utkwiły mi na łydkach. Pociągnęłam tak mocno, że wywinęły się na lewą stronę. Postanowiłam nie zdejmować bluzy mamy. W środku była cała zmechacona, a naprasowany gumowy obrazek statku kosmicznego miejscami kruszył się i odklejał. Naciągnęłam kołnierz na nos i nabrałam powietrza w płuca, wmawiając sobie, że wciąż czuję zapach perfum mamy.

Po trzech kolejnych drinkach siedziałam już na kanapie z laptopem, sprawdzając e-maile i oglądając telewizję. Miałam czterdzieści siedem nieprzeczytanych wiadomości, ale większość z nich okazała się spamem. Jediną autentyczną był długi e-mail od klienta, który przedstawiał mi nowe dane dotyczące projektu, żeby nie musiała „tracić czasu” na nadrabianie zaległości w poniedziałek. Nie odpisałam.

Wstałam, żeby przyrządzić sobie kolejnego drinka. Połowę kubka wysłałam jeszcze w kuchni, więc znów dolałam do pełna i chwiejnym krokiem wróciłam do salonu, cudem uniknąwszy zderzenia ze stolikiem. Zwaliłam się na sofę, przewiesiłam nogi przez oparcie i złapałam pilota.

Właśnie leciał jakiś film o ślubie. Goście weselni stali na skraju urwiska nad oceanem, w idealnej, romantycznej scenerii. Film leciał na Romantice, więc pewnie niedługo panna młoda dowie się, że jej mąż jest żonaty z połową kobiet w kraju albo że drużna próbuje ją zabić, ewentualnie urodzi im się dziecko i niania, chcąc zająć jej miejsce w domu, będzie nosiła jej ubrania. Jednak w tym konkretnym momencie w filmie wszyscy wyglądali na nieziemsko szczęśliwych i od samego patrzenia na nich chciało mi się rzygać.

– On wcale cię nie kocha! – wrzasnęłam na telewizor, zmieniając kanał. – On cię nie kocha – szepnęłam. Oczy zapiekły mnie od łez. Wyprostowałam się, pociągnęłam przez słomkę porządny łyk oranżady i przetarłam wilgotne powieki wierzchem dłoni. – Do diabła z nim – powiedziałam i wstałam po kolejnego drinka. – Do diabła. – Wrzuciłam kilka kostek lodu do kubka, ochlapując przy tym ubranie. – Z nim.

Wróciłam do salonu. Po drodze mało nie upadłam, kiedy skarpetka zaczęła się o wykładzinę. Sięgnęłam po pilota i zaczęłam zmieniać kanały. Przełączałam pomiędzy całującymi się parami, wyprzedają sztucznej biżuterii na telezakupach i programem o modzie, w którym styliści zmieniali image jakiejś pary małżeńskiej na imprezę z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Wszystko kojarzyło mi się z Peterem.

Ostatecznie wybrałam stary, czarno-biały odcinek *Rin Tin Tina*. Ogromny pies przyćmiewał swoim blaskiem chłopca grającego rolę jego pomocnika oraz grupę mężczyzn w mundurach, ze sztuczną bronią w kaburach zawieszonych na luźnych paskach, którzy wykrzykiwali sztampowe zdania w stylu: „Jestem najszybszym strzelcem w okolicy, proszę pana!”.

Usadoviłam się wygodniej na sofie, z laptopem na kolanach, i zaczęłam wykasowywać śmieci ze skrzynki e-mailowej, ale pies w filmie okazał się niesamowity. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku. Ratował ludzi, ostrzegał przed niechybnym niebezpieczeństwem. Zjawiał się zawsze, kiedy go potrzebowano. Nigdy nikogo nie zawiodł.

Wpisałam „Rin Tin Tin” w wyszukiwarkę i znalazłam oficjalną stronę Rin Tin Tina. Okazało się, że to nie był tylko jeden pies. Istniał cały ród Rin Tin Tinów. Owczarków niemieckich. Sącząc czwartą oranżadę, przeczytałam historię pierwszego. Skończyłam lekturę i już odkładałam laptopa, żeby pójść po następnego drinka, kiedy kątem oka dostrzegłam nagłówek na pasku bocznym: „Szczeniaki”. Poszłam szybko do kuchni po dolewkę i wróciłam biegiem do komputera. Okazało się jednak, że małe z kolejnego miotu zostały wyprzedane jeszcze przed narodzinami.

Zaczęłam szukać owczarków niemieckich w Rochester, ale znalazłam jedynie hodowcę w Kanadzie, który specjalizował się w psach szkolonych do służby w policji i odnajdywania zwłok. Na stronie był dokładny opis tresury takich psów, z wykorzystaniem podziurawionej puszkii wypełnionej szczątkami ludzkimi. Zatrzasnęłam z

przerażeniem komputer, ale wtedy Rin Tin Tin w telewizorze przeskoczył przez płonącą belę siana, pędząc na ratunek swojemu panu.

Tego właśnie mi brakowało. Tego potrzebowałam. Rin Tin Tin nie porzuciłby mnie dla szczupłych ud i szlachetnego nosa. Rin Tin Tin byłby wiernym przyjacielem.

Wróciłam do poszukiwań szczeniaka. Słowa na ekranie rozmazywały mi się przed oczami, ale nie dbałam o to. Potrzebowałam psa i nie miałam zamiaru spocząć, dopóki go nie znajdę. Przejrzałam setki stron, aż w końcu go zobaczyłam.

Wyglądał jak włochata futrzana kulka, cała czarna, nie licząc różowolutkiego języczka wystającego z pyszczka. Miał przekrzywiony łeppek, jakby się czemuś uważnie przysłuchiwał, i klapnięte uszko. Hodowca pochodził z Bratysławy, ze Słowacji, i strony internetowej nie przetłumaczono na angielski, z wyjątkiem kilku nieudolnych fraz. Nad zdjęciem szczeniaczka widniał napis, którego nie potrafiłam zrozumieć, a potem: „Pies 11/5”. Szczeniaczek miał dopiero kilka tygodni. Był maleńki. Pod fotografią dostrzegłam link z napisem „formularz zamówienia”. Najechałam na niego myszką, gotowa kliknąć.

Pociągnęłam kolejny łyk oranżady. Nie potrafiłam się zdecydować, czy na pewno chcę psa i czy powinienam zamawiać go przez internet. Przecież to jakieś szaleństwo. Szaleństwo! Spróbowałam znów oglądać *Rin Tin Tina*, ale co chwila powracałam wzrokiem do zdjęcia szczeniaczka. Przypominało jeden z tych obrazów, na których oczy śledzą cię, gdziekolwiek staniesz. Ciągłe miałam wrażenie, że pies na mnie patrzy. Zostanie zabrany mamie i oddany obcej rodzinie. Będzie tęsknił za mamą, a oni tego nie rozumieją. Nie tak jak ja.

– Potrzebujesz mnie, prawda? – zapytałam. Z każdym moim spojrzeniem jego wzrok wydawał się smutniejszy.

Kliknęłam link. W formularzu przeczytałam, że koszt szczeniaka to sto czterdzieści tysięcy koron. Wypiwszy już siedem drinków, przyrównałam koronę do peso albo lira, gdzie tysiąc ma wartość jednego dolara. Rozważałam przez chwilę, czy by tego nie sprawdzić i się upewnić, ale pomału traciłam zdolność ostrego widzenia, a bardzo pragnęłam psa. Natychmiast. Nie chciałam czekać ani chwili dłużej. A jeśli ktoś inny też siedział w piżamie przed telewizorem, oglądając maraton *Rin Tin Tina*, i zdał sobie sprawę, że potrzebuje psa? Może w czasie, kiedy będę sprawdzać kurs walut, ktoś inny kupi mojego szczeniaka? I ktoś inny będzie przytulał tę małą, włochatą kulkę. Ktoś inny będzie lizany przez pieska po twarzy. Ktoś inny zyska prawdziwego, wiernego przyjaciela, który będzie skakać dla niego przez płonące siano, a ja pozostanę sama jak palec. Na pewno okaże się tani. Pewnie nawet wypadnie to taniej, niż gdyby go kupować w Stanach Zjednoczonych. Złapałam torebkę ze stolika, wysypałam jej zawartość na sofę i przegrzebałam stertę wizytówek i kartniżkowych w poszukiwaniu karty kredytowej.

„Ha! Wypchaj się, Diane” – pomyślałam i przypomniałam sobie moment, kiedy mama zapytała ją, czy możemy sprawić sobie psa. Miałam jedenaście lat i dopiero przeczytaliśmy w szkole *Zew krwi* Jacka Londona. Cały weekend przygotowywałam dom na szczeniaka: planowałam, gdzie będzie spał i jak zapłacę za jego jedzenie z kieszonkowego. Zrobiłam grafik dnia uwzględniający czas na długie spacerunki i odrabianie pracy domowej, ale Diane w jednej chwili obróciła moje starania wniwecz.

– Psy są ohydne. Liżą się po dupach. Chyba nie mówisz poważnie, Nat? – Otrząsnęła się z obrzydzeniem, kiedy mama zadała jej pytanie.

Cóż, teraz mieszkalam we własnym domu i miałam zamiar sprawić sobie psa. Zresztą Diane i tak się mnie wyrzekła.

Cztery razy wpisywałam numer karty kredytowej, zanim zrobiłam to poprawnie, ale ostatecznie udało się i numer zadziałał. Na stronie pojawiła się informacja, że niedługo otrzymam e-mail z potwierdzeniem.

„Cholera – przeklełam w duchu, kiedy odkładałam kartę na stolik. – Kupiłam psa!”. Niejasno podejrzewałam, że powinnam panikować, ale w telewizji właśnie zaczynał się kolejny odcinek *Rin Tin Tina*. Żołnierze ustawiali się w szereg przy brzękliwej dźwiękach trąbki, a szlachetny Rin Tin Tin spoglądał na nich z wysokości. Wiatr delikatnie muskał jego sierść, w tle łopotała flaga. Czułam budzące się we mnie podekscytowanie. Miałam zamiar obejrzeć odcinek bardzo uważnie. W końcu tyle jeszcze musiałam się nauczyć o owczarkach niemieckich.

Zrobiłam sobie kolejnego drinka. Kończyła mi się oranżada, więc tym razem składał się w większości z wódki. Ponownie usiadłam przed telewizorem i co chwilę klikałam przycisk „odśwież” w skrzynce e-mailowej. Nie mogłam się doczekać informacji zwrotnej. Chciałam wiedzieć, kiedy przyślą mi psa. Oczekałam dziesięć minut, ale e-mail wciąż nie nadchodził. Piętnaście minut i nadal nic. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, pół godziny – nic.

„A jeśli nie ma żadnego psa? – przeraziłam się. – Jeśli to jakieś oszustwo, jak te e-maile od nigeryjskiego księcia? Może jakiś słowacki zboczeniec użył mojej karty kredytowej do zakupu pornosów i narkotyków?”. Oczami wyobraźni widziałam go siedzącego przed komputerem w ciemnym pokoju, w brudnym podkoszulku, śliniącego się na widok ohydnych zdjęć. Może nawet nie pochodził ze Słowacji. Może istniała jakaś chora siatka przestępcza, która naciągała swoje ofiary – samotne kobiety biorące udział w maratonach filmowych – podając się za hodowców psów z krajów postkomunistycznych.

Upiłam kolejny łyk drinka. Choć zawierał śladowe ilości oranżady, zaczął smakować jak syrop na kaszel. Gdy tylko przelknęłam, znów podszedł mi do gardła. Poczułam płyn na końcu języka i popędziłam do łazienki.

Wymiotowałam bez końca. Spuszczana woda chlapała mi na twarz. Włosy opadły mi do przodu i końce zabrudziły się fioletowymi wymiocinami. W końcu uznałam, że pozbyłam się wszystkiego. Nic we mnie nie zostało. Splunęłam do sedesu i zaczęłam płakać.

Płakałam z powodu Diane, która nie zgodziła się na psa, z powodu Petera, ślubu i czeku. Z powodu śmierci mamy, z powodu zdjęcia w fotobudce i z powodu słowackiego zbrodźca. Płakałam, bo nie miałam nikogo. Nikt nie stał po mojej stronie. Nikt nie uważał mnie za najlepszą. Dla nikogo nie byłam nawet na drugim miejscu. Nie miałam nikogo, kto przytrzymałby mi włosy albo przemył czoło wilgotnym ręcznikiem. Miałam tylko siebie, a to mi nie wystarczało.

Zwinęłam się w kłębek na śmierdzącym chodniczku łazienkowym i płakałam, aż w końcu zabrakło mi łez. Potem leżałam w milczeniu, z mocno zaciśniętą szczęką, i wsłuchiwałam się we własny świszczący oddech, dopóki nie zmorzył mnie sen.

Obudziłam się na chodniczku łazienkowym, przesiąknięta stęchlizną i smrodem wymiocin. Uniosłam się na łokciu. Pulsowało mi w głowie, a żołądek znów podchodził do gardła. Podciągnęłam twarz do muszli klozetowej i spróbowałam zmusić się do wymiotów, ale nic ze mnie nie wyleciało. Mój żołądek przypominał pustą tubkę po paście do zębów, którą przyciska się do brzegu umywalki, żeby wydobyć z niej wszystkie resztki. Miałam tak spuchnięte powieki, że z trudem cokolwiek widziałam.

Począpalałam na dół, włączyłam ekspres do kawy i połknęłam aspirynę. W salonie panował potworny bałagan. Pusty kartonik po lodach stał w kałuży czekoladowej mazi, która pokrywała prawie cały stolik. Na kanapie leżał otwarty laptop. Telewizor był włączony i nadawał na cały regulator program reklamowy wychwalający szczotkę samochodową, która potrafiła bez problemu osiągnąć nawet najgłębiej osadzonych śrub w kołach.

Nie pamiętałam zbyt wiele z poprzedniego wieczoru. Właściwie to wiedziałam tylko, że przyjechałam i zrobiłam sobie drinka. Poszłam do kuchni po papierowe ręczniki, by wytrzeć resztki lodów. Nagle ogarnęła mnie potworna myśl i serce podskoczyło mi do gardła. A jeśli zadzwoniłam do Diane i jej nawymyślałam? A może skontaktowałam się z Janie i zdradziłam jej wszystko albo wykreśliłam numer Petera i wyznałam mu miłość?

To nie byłby pierwszy raz, kiedy nagabywałam kogoś po pijanemu. Na studiach miałam potworny zwyczaj wydzwaniania do mamy pod wpływem alkoholu i opowiadania jej krępujących epizodów z mojego życia. Ona zaś, jak na prawdziwą mamę przystało, nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć.

– Cześć, pijaczko – witała się ze mną, kiedy telefonowałam następnego dnia, skacowana i nieświadoma swoich wcześniejszych poczynań. – Słyszałam, że pokazałaś wczoraj cycki kierownikowi akademika.

Nigdy na mnie nie krzyczała. Składała wszystko na karb normalnego studenckiego życia, którego sama nie miała okazji doświadczyć. Przy takich okazjach żalowałam, że nie wpoila mi strachu przed Bogiem i nie wysłała do klasztoru, gdzie w ramach poprawności zastępowano wino komunijne sokiem grejpfrutowym, albo przynajmniej nie nauczyła mnie, bym nigdy nie dzwoniła do nikogo po pijanemu.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu komórki i z duszą na ramieniu sprawdziłam listę połączeń.

Nic. Żadnych telefonów. Odetchnęłam powoli, czując, jak krew powraca mi do kończyn. Wtedy jednak zdałam sobie sprawę, że wysyłanie e-maili w takim stanie może być równie niebezpieczne.

Usiadłam na sofie i nacisnęłam włącznik laptopa.

– No dalej, dalej! – krzyknęłam na zachętę, podczas gdy sprzęt budził się z hibernacji. – Wysłane, wysłane – wycedziłam przez zęby, czekając, aż strona się załaduje. Wpisałam nazwę użytkownika i hasło, ale zanim zdążyłam nacisnąć „Zaloguj”, doznałam nagłego przebłysku wspomnienia: ja siedząca na kanapie i co chwilę klikająca „Odśwież” w oczekiwaniu na potwierdzenie zakupu. „Co takiego kupiłam? – zastanawiałam się. – Czyżbym dała się ponieść chwili i kupiłam tego nedorzecznie drogiego laptopa, którego upatrzyłam sobie kilka miesięcy temu?”. Serce dudniło mi w piersi, kiedy czekałam, aż mój cholerny żółwi internet połączy mnie z pocztą. Wtedy go zobaczyłam – e-mail z nagłówkiem „Potvrdit' pes”. Wszystko zaczęło do mnie powracać. Puchaty, czarny szczeniaczek. Rin Tin Tin. Owczarek niemiecki. Płonące bele siana. Głęboki głos z wyraźnym akcentem. Wkleiłam nagłówek e-maila do tłumacza Google. „Potwierdź psa”.

– Kurwa! – wrzasnęłam. – Kurwa, kurwa, kurwa! – Kupiłam szczeniaka. Kupiłam szczeniaka przez cholerny internet jak jakaś debilka, która nie rozumie, że nie kupuje się cholernych żywych stworzeń online!

Przetłumaczyłam e-mail zdanie po zdaniu. Pies miał przybyć na lotnisko międzynarodowe w Rochester lotem z Bratysławy o drugiej trzydzieści w czwartek w nocy. Na dole rachunku widniał napis: „Mastercard”, a dalej: „sto czterdzieści tysięcy koron”. Znalazłam przez wyszukiwarkę kalkulator walutowy i wstrzymałam oddech. Krew szaleńczo pulsowała mi w skroniach. Wpisałam sumę w odpowiednią rubrykę, nacisnęłam „Oblicz” i zamknęłam oczy, nie spojrzawszy nawet na wynik.

„Na pewno nie będzie tak źle” – pocieszałam się. Przypominałam sobie koleżankę ze studiów, która przygarnęła psa ze schroniska, kiedy wyprowadziła się do własnego mieszkania. Zapłaciła za niego dwieście pięćdziesiąt dolarów. Jeśli doliczyć koszty transportu, może wyjdzie dwa razy więcej. Ostatecznie ile mogło kosztować przetransportowanie tyciego szczeniaczka? „Jakoś przeboleję te pięćset dolarów – przekonywałam

sama siebie. – Będę się żywiła zupkami w proszku. Spłacę to w kilka miesięcy. Albo wezmę kilka dodatkowych zleceń. Prawie nie czuję wydatku”.

Odetchnęłam głęboko, otworzyłam oczy i spojrzałam na ekran. Kalkulator informował mnie, że wydałam na psa sześć tysięcy i jednego dolara.

Niesiona gwałtowną falą nudności, pobiegłam do łazienki.

Kiedy skończyłam, weszłam pod prysznic. Gorąca woda spotęgowała jeszcze bijący ode mnie smród. Skrzywiłam się z obrzydzeniem. Wonie kwasów żołądkowych, oranżady grejpfrutowej i stęchlizny mieszały się w kabinie wokół mnie, dopóki nie sięgnęłam po płyn i nie zaczęłam ich z siebie zmywać. Metalowe kurki zaskrzypiały głośno, gdy zakręcałam wodę. Kłapanie mokrych stóp na kafelkach rozniosło się echem po całej łazience. Wokół panowała tak grobowa cisza, że słyszałam warczenie lodówki z dołu. Zupełnie jakby mi przypominała, że oprócz niej nie ma tu nikogo, kto mógłby wydawać jakieś odgłosy. Już przed ślubem i czekiem doskwierała mi samotność, ale aż do teraz nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo czuję się opuszczona.

Mogłam zadzwonić na Słowację i odwołać zamówienie, albo do banku, żeby sprawdzić, czy da się cofnąć transakcję. Nie uczyniłam tego jednak. Chciałam mieć kogoś po swojej stronie, nawet jeśli tym kimś miałby być tylko pies. Chciałam wiernego przyjaciela. Chciałam, żeby ktoś spał w nogach łóżka i dotrzymywał mi towarzystwa podczas pracy. Poza tym mój piesek nie będzie przecież większy od tego chłopca na filmie. Zamówiłam małego szczeniaczka. Dam sobie z nim radę.

Rozdział 7

Spałam skacowana cały weekend, ale w poniedziałek moje myśli zaprzętały jedynie szczeniaczek. Nie wiedziałam nic o psach, więc poszłam do biblioteki i wyszperałam książkę na temat psiej inteligencji, poradnik dla właścicieli owczarków niemieckich oraz inny – jak zostać przywódcą stada. Znalazłam też ciekawą pozycję o tym, jak być najlepszym przyjacielem psa. Została napisana w latach siedemdziesiątych przez jakichś mnichów, którzy hodowali owczarki niemieckie w klasztorze w górach. Lekko trąciła myszką, jak piwnica w starym domu, a jej kartki były poplamione i pozaginane, ale czarno-białe zdjęcia owczarków niemieckich bawiących się z mnichami nie pozwalały mi oderwać od niej wzroku. Wyczytałam, że należy pozwolić, aby pies nam we wszystkim towarzyszył. Powinien spać w nocy obok łóżka na podłodze i leżeć u stóp pana podczas posiłków.

Dowiedziałam się, że owczarek niemiecki, jeśli poświęci mu się odpowiednio dużo czasu, może zrozumieć tyle słów co trzyletnie dziecko. Kiedy wróciłam z biblioteki, zamówiłam kolejne książki na temat tresury i znalazłam w internecie specjalne akcesoria dla szceniąt, które miały zachęcać do kreatywnej zabawy i nauki. Początek tygodnia upłynął pod znakiem szaleńczych zakupów na kartę kredytową i wycieczek do sklepu zoologicznego po zapasy. Pomogło mi to wyrzucić z myśli Petera, a raczej dało konstruktywne zajęcie, kiedy już musiałam o nim myśleć.

Po co Peter przyszedł do mnie w swoją noc poślubną? Co chciał mi powiedzieć, kiedy mu przerwałam? Na okrągło analizowałam w głowie tę scenę.

Peter mówi: „Van, Savannah, ja... – ale tym razem, w wyobraźni, już mu nie przerywam. – Savannah, kocham cię. Zawsze cię kochałem i nie mogę już dłużej tego ukrywać. Muszę z tobą być”. Tylko że nie brzmi to wcale jak tanie romansidło, bo mówi to do mnie i jest szczery. Obejmuje mnie ramieniem, całuje, a potem kochamy się na moim starym łóżku w domku gościnnym Driscollów. Później, kiedy Janie dowiaduje się o wszystkim, wcale się nie gniewa, bo tak naprawdę podkochuje się w spadkobiercy wielkiej fortuny, który wygląda jak grecki bóg i ma na imię Baltazar albo Adonis. Ostatecznie cała nasza czwórka bardzo się przyjaźni i organizuje wspaniałe kolacje na tarasie Janie z widokiem na Morze Egejskie o zachodzie słońca. Śmiejemy się, że cudem uniknęliśmy potwornej pomyłki, i czerwonym winem w pękatych kieliszkach wznosimy toast za wspaniałą przyszłość. Jemy chrupiący chleb skropiony oliwą z oliwek i Peter obejmuje moje opalone ramię. „Co ja w ogóle sobie myślałem?” – mówi, wskazując na Janie, i wszyscy chichoczymy, bo nikt nie ma wątpliwości, że łączy nas wielka miłość. Janie też jest bardzo szczęśliwa.

Kiedy budziłam się z tych snów na jawie, wcale nie byłam spalona greckim słońcem. Za oknem panowały chłód i szarówka, ja wciąż mieszkalam sama, a Peter nadal podróżował po Europie z Janie. Na pocieszenie biegłam do sklepu zoologicznego, kupowałam kolejne kostki i inne łakocie dla psów i marzyłam, że oglądałam film i przytulam się do mojego szczeniaczka albo idę z nim na długi spacer, bo te marzenia miały szansę na realizację.

W środę wieczorem dopięłam wszystko na ostatni guzik. Ustawiłam miski z jedzeniem w kuchni na podłodze, na małej podstawce w kształcie kości. Po chwili jednak zmartwiłam się, że jeśli mojemu szczeniaczkowi coś wypadnie z miski, będzie musiał jeść z brudnej podłogi. Nawet nie miałam mopa, więc złapałam środek czyszczący oraz rolkę papierowych ręczników, uklękłam i zaczęłam szorować posadzkę, niemytą porządnie od dwóch lat, czyli odkąd się wprowadziłam. Wyciągnęłam wyschniętą zapiekankę ziti z zimnego piecyka i paczkę liofilizowanego groszku z zamrażarki. Najstraszniejsze było to, że nie kupowałam groszku, od kiedy tu zamieszkałam, więc musiał należeć do poprzedniego lokatora. Wyszorowałam sedes, bo

psy piją z sedesu. Przeraziłam się jednak, że szczeniak wypije resztki środka czyszczącego, więc przezornie spuściłam wodę piętnaście razy. Pochowałam świece i buty. Przemierzyłam dom na kolanach w poszukiwaniu ostrych kantów i przedmiotów, których połknięcie groziłoby zadławieniem. Zanim się obejrzałam, była druga w nocy i nadszedł czas, aby odebrać szczeniaczka.

Czułam się dziwnie, idąc po bagaż, choć znikąd nie wracałam. Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wydawało mi się, że powinnam wyciągnąć jakiś transparent z napisem „Leone” albo „owczarek niemiecki”.

Kiedy weszłam do pomieszczenia, gdzie wydawano walizki, dostrzegłam kątem oka ogromną plastikową klatkę-transporter stojącą w rogu na podłodze.

Podeszłam i zajrzałam za kratkę. Ciemno. Dostrzegłam cień poruszającego się psa – szpiczaste uszy i pysk długości mojego przedramienia. Jednak trudno mi było zobaczyć cokolwiek więcej, dopóki z czarnej otchłani nie wyłonił się różowy język wielkości porządnego steku. „O rany – pomyślałam. – Ktoś inny też odbiera dzisiaj psa”.

Odsunęłam się od transportera, podeszłam do okienka i położyłam na blacie swoje prawo jazdy.

– Pani Leone, przyszła pani po psa, prawda? – Urzędnik po drugiej stronie lady był przystojnym mężczyzną o ciemnobrązowych włosach zaczesanych do tyłu z pomocą ogromnych ilości żelu. Miał piękne białe zęby, opaloną skórę i dołeczki. Na plakietce identyfikacyjnej zwisającej mu z szyi widniał napis „Peter Marino” oraz zdjęcie, na którym prezentował szelmowski uśmiech niczym model na okładce czasopisma. Był zupełnie innym typem Petera. Nie wyglądał nawet na słodkiego Pete’a. Znajomi na pewno mówili na niego Petey.

– Przyszłam po szczeniaka – poprawiłam go.

– To całkiem spory szczeniak, proszę pani – odparł Petey, wskazując na różowy język za ogromną, plastikową kratką. – Ale naprawdę uroczy. Nie zaszczekał ani razu. – Podsunął mi jakiś dokument. – Proszę tu podpisać – polecił, stawiając długopisem duży, niezgrabny krzyżyk. Dusza uciekła mi w pięty.

– Przepraszam – odezwałam się, biorąc od niego długopis. Drżała mi ręka. – Na pewno macie tu jakąś inną klatkę. Ta duża... Ona należy do kogoś innego. Przyjechałam po szczeniaczka. – Rozstawiłam dłonie na mniej więcej pół metra, żeby pokazać mu, jakiej wielkości powinien być szczeniak.

Roześmiał się.

– Mamy tu tylko jednego psa, proszę pani. Na klatce jest etykieta z pani nazwiskiem.

Z trudem utrzymałam długopis w ręku. Podpis wyszedł mi pociągły i koślawy. Jak ta bestia w dużej zielonej klatce mogła być moim szczeniakiem?

Petey nie zwracał na mnie uwagi. Wpatrywał się tęsknie w klatkę.

– No dobrze, pies należy do pani.

Chciałam mu powiedzieć, żeby go sobie wziął, skoro tak mu się podoba, i im bardziej zbliżałam się do klatki, tym bardziej żałowałam, że tego nie zrobiłam. Transporter sięgał mi do uda, a pies, z tego, co zdołałam dostrzec, prawie całkowicie go wypełniał. Moje serce pompowało krew w zatrważającym tempie. W torebce miałam maleńką obrózkę w srebrne gwiazdki i cienką czarną smycz. Pewnie nawet nie objęłaby łapy tej bestii. Oczami wyobraźni widziałam już siebie prowadzącą przez lotnisko czarnego wilka z obrozą wokół łapy.

Petey wyłonił się zza drzwi z napisem „Pomieszczenie służbowe”. Starłam się nie patrzeć na niego, żeby nie dostrzegł paniki w moich oczach.

– Proszę pani? – Podeszedł do klatki i postukał w nią. – Panno Leone? Mam teraz przerwę. Mogę pomóc pani zanieść go, jeśli pani chce.

– Och. Ech. – Nie chciałam odbierać nieszczęśnikowi przerwy, ale nie miałam szans sama przetransportować psa do samochodu. Popatrzyłam na mężczyznę i skinęłam głową.

Przytaszczył duży, metalowy wózek i z wielkim trudem postawił na nim klatkę, stękając przy tym i kwękając. Żyłki na szyi nabrzmiały mu od wysiłku. Miałam potworne wyrzuty sumienia. Powinnam była poprosić kogoś, żeby pojechał ze mną po psa. Jednak, szczerze mówiąc, nawet jeśli zdołałabym się przyznać, że wpisałam numer karty kredytowej na słowacką stronę internetową w nadziei, że w zamian wyślą mi psa, i tak nie znałam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

Wyjechaliśmy na parking. Petey nie przestawał stękać. Powietrze wydostawało się z jego płuc w postaci kłębow pary, które otaczały jego głowę i ciągnęły się za nim wyraźną smugą. Obawiałam się, że zaraz wybuchnie. Chciałam mu pomóc, ale nie bardzo wiedziałam jak. Szłam obok szybkim krokiem, z dłonią spoczywającą na klatce, jakbym pomagała ją ustabilizować.

– Gdzie pani zaparkowała? – stęknął.

– Tam. – Wskazałam moją małą srebrną corollę.

Pete zamarł w pół kroku, popatrzył na mnie, a potem odrzucił głowę i wybuchł gromkim śmiechem.

– Cha, cha, cha! – zagrzmiął. Boki trzęsły mu się gwałtownie pod cienkim podkoszulkiem. – Myśli pani, że uda się pani go tam wsadzić? – zapytał. Prawie płakał ze śmiechu.

– Cóż, myślałam, że będzie... – Ja również poczułam wilgoć pod powiekami. – Myślałam, że będzie mniejszy – wyznałam. Śmiałam się i płakałam jednocześnie. Łzy zaczęły spływać mi po twarzy.

– W takim razie będziemy musieli coś wykombinować, prawda? – Petey wyciągnął z kieszeni miarękę. Zmierzył klatkę, potem szerokość drzwi, a potem znowu klatkę. – Będzie musiał wyjść. – Nacisnął przycisk miarki i taśma wsunęła się do środka.

Bestia zaczęła wiercić się we wnętrzu.

– Co ma pan na myśli?

Obok nas przejechał samochód i reflektory oświetliły na moment transporter. Dostrzegłam błysk białych klów.

– Cóż, prędzej czy później będzie musiała go pani wypuścić. Jeśli chce pani, żebym pani pomógł, musimy zrobić to teraz.

Petey polecił mi wyjechać z miejsca parkingowego na uliczkę. Po dość długich zabiegach w końcu zdołał ustawić klatkę stosunkowo blisko tylnych drzwi. Wychyliłam się z przedniego siedzenia i otworzyłam plastikowe drzwiczki. Pies wskoczył do samochodu. Wysiadłam szybko i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Był olbrzymi. Prawie jak człowiek. Zajmował całe tylne siedzenie. Widziałam jedynie czerń. Miał długą sierść – tak czarną, że na końcach wyglądała na niebieską, nawet w pomarańczowym świetle lamp parkingowych. Przeraziłam się.

– Rany – westchnął Petey. – Co to za pies?

– Owczarek niemiecki – odrzekłam, obchodząc klatkę dookoła.

– To nie jest owczarek niemiecki. Jest czarny. Ma długą sierść.

– Miał być owczarkiem niemieckim – powiedziałam.

Pies wpatrywał się w nas z otwartym pyskiem. Miał kły wielkości mojego małego palca. Struga śliny skapnęła mu z języka wprost na siedzenie.

Petey złapał klatkę.

– Odsunę się, a pani niech zamknie drzwi.

Skinęłam głową i odetchnęłam głęboko.

Petey odciągnął klatkę, ale ja zawahałam się na moment i nagle na przeszkodzie stanął mi łeb psa. Zwierzę przecisnęło się pomiędzy nami i wyskoczyło.

– Kurwa! – wyrwało mi się. Nie wiedziałam, czy powinnam je gonić. Nie wiedziałam, czy mnie nie ugryzie.

– Proszę nie panikować! – uspokajał mnie Petey. – Nie wolno pani panikować.

– Co teraz? – zapytałam.

– Zobaczmy, co zrobi.

Pies znajdował się jakieś sześć metrów od nas. Obwąchiwał zawzięcie lampę uliczną.

– Nie! Nie rozumie pan! On jest... Zapłaciłam... On jest...

Pies uniósł tylną łapę i zaczął sikać.

Petey zaśmiał się pod nosem.

– Czasem każdy musi.

– Co teraz zrobimy? Jak wsadzimy go z powrotem do samochodu?

– Proszę się uspokoić – powiedział Petey, kierując w moją stronę palec. – Zapomina pani o pewnym bardzo istotnym fakcie.

– Jakim?

– Psy uwielbiają jeździć samochodem. – Wydał dolną wargę i uniósł wymownie brwi, jakby właśnie wyjawiał mi największy sekret wszech czasów.

– To wszystko? Nie ma pan nic innego...

Pies załatwił potrzebę i opuścił łapę.

Petey cmoknął.

– Chodź, piesku. Chodź, mały. – Nachylił się i poklepał tylne siedzenie samochodu.

Zwierzę rzuciło się w jego stronę szaleńczym pędem i wskoczyło do pojazdu. Petey zatrzasnął za nim drzwi.

– Widzi pani? Psy uwielbiają auta.

Z jakiegoś powodu wyobrażałam sobie Słowację jako kraj bez samochodów. Oczami wyobraźni widziałam karzelka wiozącego psa na lotnisko wozem pełnym siana, zaprzęgniętym w osła. Jednak zwierzak wyglądał na zadomowionego w mojej corolli. Rozsiadł się wygodnie i przyglądał nam przez okno. Jego gorący oddech zaparowywał szybę.

– Nie wiem, co to za pies, ale jest naprawdę ładny. – Petey poklepał dach samochodu. – No dobrze, kolejna sprawa. Wie pani, że aby wsadzić tę klatkę do środka, musi ją pani rozłożyć na części? – Podeszedł do klatki i przekręcił uchwyty.

Ja zrobiłam to samo z drugiej strony. Palce zmarzły mi na kość i przyciśnięcie plastikowych wypustek sprawiło mi potworny ból. Petey poradził sobie ze wszystkimi uchwytami z tyłu klatki, a mnie w tym czasie udało się przekręcić tylko dwa. Zdjęliśmy przednią kratę, odczepiliśmy górną część transportera od dolnej i włożyliśmy jedną w drugą.

– Proszę – powiedział, wyciągając z tylnej kieszeni spodni oklejoną taśmą kopertę. – To było przyklejone do klatki.

Nie wiedziałam co to i nie chciałam się tego dowiedzieć przy Peteyu, więc wcisnęłam pospiesznie kopertę do kieszeni płaszcza.

– Ma pani w samochodzie jakiś sznurek? – zapytał Petey, choć po jego minie widziałam, że ewidentnie w to wątpi.

– Nie. – Otworzyłam bagażnik. W środku walały się puste pojemniki po jedzeniu i kubki podróżne, które wiecznie zapomniałam zabrać do domu i wsadzić do zmywarki. Pośród nich dostrzegłam stare, porwane rajstopy. – Możemy użyć tego – zaproponowałam, wyciągając je z bagażnika i zwijając w dłoni. Petey wyciągnął po nie rękę, ale odsunęłam się pospiesznie. – Ja to zrobię.

Petey postawił rozłożone części klatki w maleńkim bagażniku i ułożył je najstabilniej, jak się dało. Przeciągnęłam rajstopy przez ucho w klapie, potem przez kratkę transportera i znowu przez ucho w spodzie bagażnika. Naciągnęłam je z całych sił i zawiązałam. Staralam się wcisnąć krocze rajstop do środka, ale – jak na złość – wyskakiwało na zewnątrz.

– No i proszę – powiedział Petey. – Gotowe.

– Proszę. – Chciałam wręczyć mu dziesięć dolarów.

Uniosł dłoń i się cofnął.

– Nie, nie. Nie trzeba. – Wcisnął ręce w kieszenie i odszedł. – Powodzenia, panno Leone! – krzyknął na odchodne.

Wpatrywałam się w szybę samochodu. Pies leżał na tylnym siedzeniu z uniesioną głową. Przypominał sfinksa i bacznie mi się przyglądał.

„Nie okazuj strachu” – przykazałam sobie w duchu. Podobno w kontaktach z psami, bykami i pszczołami trzeba być pewnym siebie. Nie wolno okazywać strachu. Postanowiłam kilka razy zaczerpnąć głęboko powietrza, ale zimno szczypało mnie w płuca. Oszukałam więc nieco i wzięłam parę płytkich oddechów, ale nim zdążyłam się zorientować, dostałam zadyszki. Oparłam się o samochód po stronie kierowcy, opuściłam głowę i zaczęłam oddychać w rękaw, żeby się trochę ogrzać.

Auto się zatrzęsło. Uniosłam wzrok i zobaczyłam psa na przednim siedzeniu, patrzącego na mnie przez okno. Przynurłam się bliżej. Miał ciepłe, miodowe oczy. Przekrzywił głowę na bok i od razu zrobiło mi się lepiej. Mój oddech się uspokoił.

– No dobrze, musisz wrócić na tylne siedzenie – oznajmiłam. Przekrzywił głowę w drugą stronę. – Do tyłu – powtórzyłam głośniejszym głosem. – Do tyłu. – Postukałam w tylną szybę. Zwierzę przeskoczyło na tylne siedzenie i usiadło.

Otworzyłam drzwi i wsiadłam. Pies wychylił się, trącił mnie w ramię i położył łeb między przednimi siedzeniami. Wyciągnęłam rękę i poklepałam go po głowie. Dłoń mi drżała. Jego sierść była zadziwiająco miękka w dotyku.

Wytarłam pięścią parę z szyby i zapaliłam silnik.

Przez całą drogę pies nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Siedział na tylnym siedzeniu i wyglądał przez szybę. Obserwowałam go w lusterku i zastanawiałam się, czy widok z okna bardzo różni się od tego, do którego przywykł.